



# **PARTYJNIACTWO**

**JAK PSUJE POLSKĘ. CO Z TYM ZROBIĆ?**

**W numerze:**

**Partyniactwo postmodernistyczne**

Jan Maria Rokita . . . . . 3

**Stwórzmy polskie partie prawa!**

Michał Kuź . . . . . 7

**Walka z frakcjami to psucie demokracji**

Rafał Matyja . . . . . 11

**Agencje rolne, czyli rządowa stajnia Augiasza**

Krzysztof Bosak . . . . . 15

**Po szwajcarskim „nie” strefa Schengen trzeszczy w szwach**

Aleksandra Rybińska . . . . . 17

**To nie głupcy rządzą Polską**

Bartłomiej Radziejewski . . . . . 20

## Partyjniactwo postmodernistyczne



**JAN MARIA ROKITA**

Publicysta, nauczyciel akademicki, były polityk

**Polskie partie koegzystują dzisiaj w jednym państwie jak wrogie plemiona, które los posadził nad jedną rzeką. Powoli zapominają już, że obecność owej rzeki niosła dla nich jakieś wspólne sensy.**

### Wspólny sens i partykularyzm

Tradycyjna krytyka partyjniactwa posługuje się od niepamiętnych czasów trzema zasadniczymi zarzutami. Po pierwsze twierdzi, że partie mają naturalną skłonność do wprowadzania rozłamu tam, gdzie potrzebna jest zgoda; w związku z czym nazbyt często rujną podstawy egzystencji rzeczypospolitej.

Po drugie, że partie wypierają ze sfery publicznej dobro wspólne i zastępują je partykularnym interesem, są zatem niegasnącym ogniskiem najróżniejszych odmian korupcji politycznej.

Po trzecie wreszcie, że w miejsce racjonalnego dyskursu o urządzeniu rzeczypospolitej partie wprowadzają demagogię, w której nigdy nie chodzi o prawdę, lecz jedynie o sofistyczny triumf nad oponentami. Finalnym politycznym skutkiem tych trzech ponurych cech samej idei „partyjności” musi być deprawacja partyjnych systemów selekcji kadr do polityki. Systemy owe odtąd z konieczności promują

interesownych demagogów w miejsce ludzi roztropnych i kierujących się cnotą.

Krytyka partyjniactwa nie musi oznaczać przy tym odrzucenia samej zasady partyjnego urzędzenia polityki. Rozsądek podpowiada, że ludzka wolność wymaga prawa i możliwości zawiązywania interesownych związków, siejących rozłam i uprawiających demagogię. Krytyka partyjniactwa zakłada jedynie, że najlepszy ustrój to taki, który wprowadza bariery dla rozpasanej partyjności oraz tworzy i ochrania takie instytucje, w jakich przewagę będą mogły zachować rozum, dobro wspólne i zgoda.

W polskiej tradycji politycznej bez wątpienia najwybitniejszym rzecznikiem takiej krytyki jest Józef Piłsudski. W słynnym wywiadzie udzielonym „Kurierowi Porannemu” w przeddzień zamachu majowego marszałek oznajmiał: „Staję do walki z głównym złem państwa: panowaniem rozwydrzonych partyj nad Polską, zapominaniem o imponderabiliach, a pamiętaniem tylko o groszu i korzyści”.

Nietrudno spostrzec, że taka krytyka partyjniactwa implicite wychodzi z pewnych założeń dotyczących natury samej polityki. Jakby powiedział Jean-Luc Nancy, polityka nie może tu oznaczać jedynie „regulowania wspólnej egzystencji”, ale musi także postulować „jakiś sens albo prawdę tej egzystencji”.

Jeśli polityka nie wykracza poza dziedzinę prostego zarządzania sprawami publicznymi, krytyka partyjniactwa obarczona jest nieuchronnie błędem braku swoich podstaw. W imię czego bowiem można by się domagać panowania rozumu, zgody i dobra wspólnego w dziedzinie, w której obowiązywałyby jedynie utylitarne reguły efektywności?

Krytyka partyjniactwa nabiera zatem dopiero znaczenia, jeśli uznać, że prawdziwą misją polityki jest budowanie dobrej wspólnoty, dzięki której jej uczestnicy zyskują realną możliwość i impuls dla coraz bardziej godziwego życia. Nancy powie, że to właśnie wspólnota jest takim ustrojem świata, w którym pomiędzy ludźmi „cyркуlują sensy”.

A jeśli kto podejmie trud wykorzystania narzędzi politycznych dla budowy wspólnoty, wkrótce odkryje pewną bardzo praktyczną prawdę. Tę mianowicie, że nawet najlepsza realna polityka dzieje się w nieustannym wewnętrznym zwarceniu pomiędzy tym, co wspólnotowe, a tym, co partykularne. Pomiedzy wznoszeniem gmachu rzeczypospolitej a zaspokajaniem najbardziej egoistycznych pragnień. Pomiedzy spinozjańskim conatus pchającym wszelki byt ku perfekcji a zwyczajną entropią, nieustannie rozkładającą nawet najlepiej obmyślane instytucje.

Rzecz jednak w tym, czym jest ta budowana bądź umacniana przez politykę wspólnota i jakie sensy cyркуlują pomiędzy jej uczestnikami? W Europie jeszcze pół

wieku temu nie byłoby z odpowiedzią większych problemów. Była nią wspólnota narodowa – polskość, francuskość albo niemieckość – do której odnosiły się najważniejsze sensy ówczesnej polityki.

### **Partie jako nowe plemiona**

Nim nastąpiła jeszcze epoka globalizacji i nim powołana została traktatem z Maastricht Unia Europejska, narody Starego Kontynentu, które ustanowiły swoje państwa, były na dobrą sprawę jedynymi wspólnotami o realnej politycznej istotności. A dla przygniatającej większości Europejczyków było rzeczą dość oczywistą, że narodowość jest ich bezwzględnie pierwszą (jeśli w ogóle nie jedyną) wspólnotą polityczną, do której przynależą i wokół której koncentrują się ich wyższe sensy i uczucia.

### **Partyjność stała się, przynajmniej dla partyjnych elit, formą tożsamości bardziej pierwotną od narodowości**

Ale od tamtego czasu bardzo wiele się zmieniło. Tradycyjne tożsamości narodowe mocno osłabły, nacjonalizm stał się ideologią oficjalnie wyklętą, a głęboko ludzka potrzeba przynależności do wspólnoty politycznej zaczęła znajdować rozmaite nowe ujścia. Ćwierć wieku temu Michel Maffesoli postawił tezę, że znakiem naszych „postmodernistycznych” czasów jest w Europie tworzenie się „neoplemion”, które – w jego przekonaniu – zwiastują zanik tradycyjnego indywidualizmu, ale

które w jeszcze większym stopniu są produktem słabnięcia więzi narodowych.

Dzisiaj jest już całkiem naturalne, że w Europie żyją między nami miliony ludzi, którzy jako swoją ojczyznę traktują nie Polskę, Francję albo Niemcy, lecz polityczną wspólnotę zielonych, feministek, gejów, miłośników zwierząt, grupę etniczną, sektę religijną, korporację biznesową albo... partię. „Jestem na zawsze patriotą PO!” – z dumą oznajmiał niedawno jeden z kluczowych działaczy ugrupowania rządzącego w Polsce, właśnie bezwzględnie odsuwany od wpływów przez swojego przywódcę.

### **Polska jedność i partyjność**

Cały krytyczny nurt polskiej tradycji historycznej – od rodziny Czartoryskich poprzez stańczyków, sanację, a skończywszy na paryskiej „Kulturze” – zwykł przyjmować, że polskość jest w jakiś sposób bardziej niż inne nacje podatna na wszelkie przywary partykularyzmu i partyjniactwa. Tę mantrę ma zakodowaną w głowie bodaj każdy polski inteligent: jesteśmy ponoć sobiepańscy, swarliwi, egzaltowani i przekupni, a naszym narodowym zawołaniem jest „Hajże na Sopicę!”.

Jednak liczne partie, jakie zapełniły polską scenę polityczną po odzyskaniu niepodległości w 1989 r., tylko w bardzo ograniczonym stopniu potwierdziły aktualność owego postsarmackiego stereotypu. Owszem, stosuje się do nich ten zarzut, że bardziej siały polityczny rozłam niżli zgodę i że ten fakt zarówno osłabił tempo modernizacji kraju po komunizmie, jak i przeszkodził w świadomym oraz celowym urządzeniu instytucji nowego państwa. Dowodzi tego zarówno sławetna „wojna na górze”, jak i przewlekły i wyniszczający konflikt partii z Lechem Wa-

łęsą. Nawiasem mówiąc, konstytucja kwietniowa 1997 r., choć obciążona licznymi wadami, wprowadziła nie najgorsze instytucje mające być bezpiecznikiem przeciw tej anarchicznej skłonności, choćby konstruktywne wotum nieufności.

Jednak nawet w przypadku tego najbardziej zasadnego zarzutu można by przeprowadzić linię obrony tamtych partii, przywołując np. unikalny w skali Europy postkomunistycznej fenomen jedności AWS, który posłużył przeprowadzeniu „czterech reform”. A już całkiem trudno byłoby dowieść zarówno tezy o braku gotowości poświęcenia ówczesnych partii dla wspólnego dobra państwa, jaki i o triumfie demagogii nad rozsądkiem w dyskursie publicznym lat 90.

Cała ideologia „trudnych, ale bolesnych reform”, którą wprowadził do polskiej polityki Leszek Balcerowicz wraz z Unią Wolności i w której sens głęboko wierzyły kolejne solidarnościowe partie i rządy, aż do AWS i gabinetu Jerzego Buzka, była w gruncie rzeczy zaprzeczeniem partyjniackiego stereotypu. Podobnie zresztą jak język debaty o państwie w tamtych latach, odwołujący się nieustannie do wyrzeczeń, poświęcenia dla kraju, pracy dla przyszłych pokoleń. Summa summarum, tamte ugrupowania, przy wszystkich swoich słabościach i śmiesznoścach, były wyraźnie lepsze, niżli chciałby tego ów partyjniacki stereotyp.

Wszystko zaczęło się zmieniać po roku 2005. Do polityki polskiej wtargnęło partyjniactwo ekstremalne, ale nie to z anarchicznego postsarmackiego stereotypu. Polską zawładnęło partyjniactwo „postmodernistyczne”, rodem z neoplemiennych diagnoz Maffesoliego. Owszem, w pełni odnoszą się do niego wszystkie zarzuty tradycyjnej krytyki partyjniactwa. Sianie rozłamu nie jest już tylko fenome-

nem płynącym z anarchicznej skłonności i ambicji liderów, lecz zasadą egzystencji partii nowego typu, postmodernistycznym przemysłem, dzięki któremu możliwe stało się zdobywanie i utrzymywanie władzy.

Egzekucja partyjnego interesu przestała być w ogóle traktowana jako jakiś wstydlivy przejaw partykularyzmu, ponieważ partyjność stała się, przynajmniej dla partyjnych elit, formą tożsamości bardziej pierwotną od narodowości, straciła zatem etykietę partykularności. Nie bez przyczyny ogarnięty partyjną emocją wybitny reżyser nie waha się publicznie ogłosić, iż Polskę zamieszkują teraz dwa wrogie sobie narody, którymi są platformersi i pisowcy. Zaś wszelka próba racjonalnego dyskursu o problemach państwa, podejmowana przez jakiegoś działacza partyjnego, tropiona jest i napiętnowana jako moralnie naganna zdrada.

Propagandyści partyjni odkryli dziś na powrót znaną z czasów panowania totalitaryzmów wiedzę, iż propaganda integralna jest skuteczniejszym sposobem oddziaływania na masy niżli jawne i uczciwe prowadzenie debaty o polityce. Nie trzeba nawet dodawać, jakie to wszystko niesie skutki dla selekcji kadr partyjnych. W większości polskich ugrupowań stało się normą, że poza liderem nie ma w nich miejsca dla postaci z autonomicznym au-

torytetem i polityczną zdolnością sprawczą. W partyjnych wyborach z reguły wygrywają działacze o nikłych horyzontach intelektualnych i bardzo słabych charakterach. A partyjne młodzieżówki stały się szkołami niszczenia charakterów młodych ludzi, aspirujących do udziału w życiu publicznym.

Polskie partie koegzystują dzisiaj w jednym państwie tak jak niegdyś wrogie sobie plemiona, które los posadził nad jedną rzeką. Powoli zapominają już, że obecność owej rzeki niosła dla nich jakieś wspólne sensy wynikające z tego położenia. Że istniała wspólnota losu wynikająca z faktu życia na jej brzegach. Ich poczucie wspólnoty zmieniło się i zawęziło.

To, co kiedyś było dla nich partykularne, stało się właśnie wspólnotowe, zaś dawne poczucie wspólnoty utraciło pierwotne znaczenie. Więc pośród działaczy, a nawet i zwykłych członków narastała fala dumy i pewności siebie wynikłej z poczucia partyjnej przynależności, wraz z pierwotną pogardą i pragnieniem poniżenia za wszelką cenę tych, którzy jawią się jako obcy. Prawdę mówiąc, nie jest na razie jasne, czy to tylko jakieś lokalne i przemijające apogeum lokalnego fenomenu polskiego partyjniactwa, czy raczej proces znamionujący kierunek, w jakim podąża europejska polityka.

## Stwórzmy polskie partie prawa!



**MICHAŁ KUŹ**

Redaktor „Nowej Konfederacji”

**Polskie partyjniactwo w zadziwiający sposób łączy wady kartelizacji i oligarchizacji. W efekcie polityka partyjna sięgnęła u nas dna. Aby uniknąć katastrofy, potrzebne są bezprecedensowe zmiany.**

Zaczyna się kolejny sezon wyborczy. Znowu usłyszymy o niskiej frekwencji, trudnościach z aktywizacją społeczeństwa i malejącym zainteresowaniu programami. Wszystkie te problemy dotyczą współczesnych partii politycznych, nie tylko w Polsce i wśród krajów postkomunistycznych. Na to samo uskarżają się partie demokratyczne w całej Europie, a także w USA. W wyniku naszych unikalnych zaszłości historycznych systemy partyjne w naszym regionie uległy jednak szczególnemu wynaturzeniu. Musimy więc stworzyć prawne narzędzia wywierania nacisku na partie i ich cywilizowania.

### **Kartelizacja i oligarchizacja**

Inicjatywy pokroju Occupy Wall Street, Tea Party, sprzeciwu wobec ACTA czy Ruchu Niezadowolonych pojawiają się i znikają bez specjalnych szans na instytucjonalne okrzepnięcie. Nowa era e-ruchów społecznych i tanich obywatelskich kampanii wyborczych to zwyczajna mrzonka. Prawda jest zaś taka, że nowoczesna

technologia używana podczas kampanii, podobnie jak technologia wojskowa, kosztuje. Kto tych technologii nie stosuje, ten przegrywa, zaś ten, kto je chce stosować, potrzebuje dużych pieniędzy.

Pieniądze można zaś uzyskać albo od darczyńców prywatnych, albo z budżetu państwa. Problem polega na tym, że partiom łatwiej niż ciułać małe dotacje od zwykłych zjadaczy chleba, jest sięgnąć po naprawdę duży kapitał będący w rękach koncernów, korporacji, związków zawodowych, funduszy, no i na prywatnych kontach multimiliarderów, rzecz jasna. Oczywiście tworzy to niebezpieczeństwo oligarchizacji: stworzenia polityki specjalnych interesów i specjalnych przywilejów.

Pobieranie funduszy państwowych wzmacnia z kolei zjawisko partyjnej kartelizacji, czyli wykorzystania przez ugrupowania polityczne środków państwowych po to, aby ograniczyć konkurencję i utrwalić panowanie członków już istniejącego klubu.

Europejska polityka partyjna dzięki pokaznym subsydiom i ostrym regułom

dotyczącym zewnętrznego finansowania wyewoluowała w kierunku zwiększonego kartelizmu. Ameryka stała się zaś wybitnie oligarchiczna. Dotyczy to zwłaszcza okresu po roku 2010, kiedy to Sąd Najwyższy unieważnił prawo zakazujące korporacjom i związkom zawodowym finansowanie kampanii politycznych. Od tego czasu potężne zewnętrzne fundusze, tzw. superpacki (i ich zarządcy), poczęły kierować kampaniami w większym stopniu niż oficjalne partie. W mediach zaś otwarcie mówi się już nie np. o wyborcach z przedmieść, miast i ze wsi, tylko o tym, że Obamę popiera branża IT i ecolobby, a Romneya przemysł górniczy i naftowy.

### **Niestabilność i późniejsza absolutyzacja polskich partii politycznych**

Polska to największy i najludniejszy kraj w pierwszej grupie środkowoeuropejskich państw, która po 1989 r. postanowiła demokratyzować się na wzór zachodni. Co ciekawe, wkrótce nasz system partyjny dotknęła zarówno kartelizacja, jak i oligarchizacja, choć ta ostatnia wpływała oczywiście z nieco innych niż w przypadku USA przyczyn.

Partie w zachodniej Europie i USA kształtowały się bowiem w długim procesie historycznym. Złoty okres tego rozwoju przypadał zaś na lata 1848–1970. To wtedy powstawały partie masowe; partie budujące silne społeczne podstawy swojej pozycji politycznej, agitujące, działające charytatywnie i jednoczące mozolnie rozmaite grupy społeczne.

Oczywiście późniejsza epoka postmodernistycznego neopartyjniactwa zmieniła również oblicze tych dawnych masowych instytucji. Bardzo łatwo jednak zapominaamy, że zachodnie partie, takie jak

choćby niemieckie CDU czy szwedzcy Socialdemokraterna (Socjaldemokaraci), wciąż dysponują częścią kapitału społecznego pochodzącego z minionej epoki. Przeciętnie wciąż mają np. ponaddwukrotnie więcej członków niż formacje, które po 1989 r. powstawały i nadal powstają w Europie Środkowo-Wschodniej. Nie można ich więc ot tak zamienić w prywatny folwark tego czy owego lidera.

### **Dlaczego jednak nie uzależnić przyznawania partiom nawet i większych niż dotychczas dotacji od wprowadzenia pewnych wewnętrznych reform?**

Wydaje się, że problem naszego regionu polega więc na tym, iż z epoki komunistycznego, monopartyjnego zamordyzmu przeszedł on niemal natychmiast do epoki nowoczesnych socjotechnik i ubranych w drogie garnitury spin doktorów. Zarysował się u nas oczywiście w latach 90. pewien dziecinny okres partii nieprofesjonalnych. Jak jednak słusznie zauważyła Jadwiga Staniszkis, ugrupowania w Polsce i w regionie od początku nie bardzo wiedziały, czyje interesy reprezentują. Lub też koniunkturalnie udawały, że reprezentują interesy inne od faktycznych.

W pierwszym momencie takie niedopieczone i niedogotowane partyjki zaowocowały oczywiście swoistą instytucjonalną biegunką. Z trzewi III Rzeczypospolitej wyskakiwały wciąż to nowe potworki, żyły sobie jakiś czas, dzieliły się i mnożyły. A potem niechybnie umierały.



Do 2011 r. żaden rząd nie utrzymał się dłużej niż przez jedną kadencję, a przegrani często znikali ze sceny politycznej zupełnie.

Tamę temu zjawisku postawiło naturalnie zwanie szeregow przez partie nowej generacji: PiS, PO i zreformowane PSL oraz SLD. Zwanie szeregow polegało jednak nie na próbie głębszego społecznego zakorzenienia, tylko na wprowadzeniu wewnętrznego autorytaryzmu. Formacje najpierw skartelizowały system, a potem uczyniły ze swoich prezesów udzielnych książąt, którzy wprawdzie są teoretycznie wybierani, w praktyce jednak to oni wybierają swoich wyborców, bo mogą w partii niemal wszystko.

Zaowocowało to naturalnie odklejeniem się polityki partyjnej od tematów, które zajmują szersze społeczeństwo. W pewien patologiczny sposób ta sytuacja była jednak ugrupowaniom na rękę. W systemie skartelizowanym nie musiały bać się konkurencji, zaś wewnętrzny absolutyzm wymuszał stosunki typowe dla otomańskiego haremu. Rosła i tężała atmosfera niedomówień, intryg i pałacowych spisków. Podobne intrygi występują naturalnie wszędzie tam, gdzie uprawia się politykę; nie wszędzie jednak polityka do owych machinacji się ogranicza.

Polskie media żyją zaś dziś pytaniami typu: jak jeszcze Tusk zemści się na Schetynie? Czy Schetyna ma jakieś haki na Tuska? Dlaczego prezes nie lubi już Hofmana? Nikogo już nie dziwi też eliminowanie z polityki ludzi, którzy mają ambicję realizowania jakichkolwiek realnych projektów wykraczających poza mury „haremów”; to przecież naturalne, że sułtani mają ich za wichrzycieli. System przedstawia się bowiem tak, że na czele partii stoją ich absolutni wodzowie, którzy mogą być obaleni jedynie w wyniku zakulisowych intryg ich własnych zauszniaków. Wodzowie

ci zaś w sumie tworzą oligarchię rządzącą krajem i nie jest im do tego potrzebne żadne społeczeństwo obywatelskie.

### **Skromna propozycja**

Narzucenie czegokolwiek polskim formacjom politycznym nie jest możliwe bez zmiany konstytucji. Trudno zaś teraz powiedzieć, czy i kiedy byłoby to możliwe. Nie wiadomo też, czy taka „nuklearna” opcja wyszłaby polskim partiom politycznym na zdrowie w dłuższej perspektywie.

Na razie warto jednak rozważyć zastosowanie metody kija i marchewki. Argumenty przemawiające za traktowaniem partii jako quasi-rządowych instytucji i częściowym ich dotowaniem nie są bynajmniej wysane z palca. Dlaczego jednak nie uzależnić przyznawania ugrupowaniom nawet i większych niż dotychczas dotacji od wprowadzenia pewnych wewnętrznych reform? Dlaczego nie utworzyć pewnych standardów, które wewnętrzne statuty partii pobierających pieniądze z budżetu państwa musiałby spełniać?

Dlaczego w ten sposób nie ujednoczyć procesu tworzenia niektórych ważniejszych list i obierania władz partyjnych? Dlaczego nie czynić tego na drodze wyborów i praw wyborów nadzorowanych przez PKW? Dlaczego w owych wyborach nie mieliby brać udziału nie tylko regularni członkowie partii, ale i osoby dobrowolnie rejestrujące się w danych okręgach jako „sympatycy” (bez normalnych obowiązków składkowych i członkowskich)? Dlaczego nie wymusić też na partiach np. przeznaczania co roku określonej sumy z dotacji na działania edukacyjne skierowane do szerszego odbiorcy i doszkadzanie swoich działaczy?

Powyższe propozycje mają wyłącznie charakter ramowy i powinny zachęcić do dyskusji. Jest jednak pewna konieczna

reforma, bez której wszystkie pozostałe mogą prędzej czy później zawieść. Obok modyfikacji sposobu wydawania pieniędzy i obierania członków niezbędną w naszym kontekście zmianą byłoby bowiem wprowadzenie obowiązkowego limitu kadencji dla prezesa partii i jej zarządu. Tylko partia polityczna, która obok innych regulacji obierałaby prezesa i zarząd maksymalnie na dwie czteroletnie kadencje, a potem dziękowała im przynajmniej na jakiś czas za współpracę. Mogłaby wtedy otrzymywać dotacje i legitymizować się statusem „Partii prawa”.

Nadanie takiego tytułu formacjom pobierającym subwencje byłoby z jednej strony uznaniem ich statusu jako półoficjalnych rządowych instytucji, z drugiej zaś podkreśleniem, że tak potężna władza jak ta, którą dziś mają przywódcy polskich partii, nie może obejść się bez kontroli ze strony obywateli. „Królewęta” nie mogą jednak uczynić z III Rzeczypospolitą tego, co ich poprzednicy uczynili z I RP.

Oczywiście, prawo ograniczające kadencje prezesów nie jest czarodziejską różdżką, która natychmiast uzdrowi polską politykę. Miałoby ono jednak przyspieszyć ewolucję polskich partii w kierunku instytucji bardziej obywatelskich. Prezes, wiedząc, że i tak nie będzie rządzić wiecznie, zostanie zmuszony do tego, aby sku-

piąć się bardziej na tym, jak zapamięta go historia. A mniej na tym, kogo musi w najbliższym czasie z partii wygryźć. Młodzi działacze nie będą z kolei tracić energii na bezproduktywne i pozbawione szans na powodzenie secesje w rodzaju PjN czy też Solidarnej Polski. Będą raczej spokojnie czekać na swoją kolej. Wyborca zaś będzie widział, że partie starają się odzwierciedlać zmiany pokoleniowe, jakie zachodzą w samym społeczeństwie, i przez to darzył je większym zaufaniem. Nikt nie będzie też już utożsamiał partii z wodzem, a więc zyska nieco na znaczeniu dyskusja programowa.

To prawda, że takie faktyczne ograniczenie władz prezesów i zarządów partii nad ich własnymi instytucjami może się wydać rozwiązaniem dziwnym i radykalnym. Niemcy wprowadzili kontrolują swoje partie pod wieloma innymi względami, ale tego obostrzenia oficjalnie jeszcze nie wprowadzili. Powyższy projekt jest jednak w moim odczuciu jedynym racjonalnym rozwiązaniem dla dzisiejszej polskiej sceny politycznej. W przeciwnym razie zniechęcenie i niezadowolenie młodego pokolenia będzie znajdować inne, pozawyborcze ujścia. Ludzie nadal będą głosować albo nogami poprzez emigrację, albo rękami. Tylko że takimi, w których ścisną kamienie, a nie karty do głosowania.

## Walka z frakcjami to psucie demokracji



**RAFAŁ MATYJA**

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

**Marzenie o demokracji bez partii i postrzeganie „frakcji” i „stronnictw” jako przeszkód w budowie doskonałego państwa ma długą historię. Problem polega na tym, że to marzenie bezpłodne.**

Kiedy partie polityczne stają się dysfunkcjonalne i patologiczne, myśl o tym, by je „ominać”, zbudować demokrację bez partyjniactwa, staje się obsesją reformatorów ustroju. Tak samo dzieje się we współczesnej Polsce. Zanim jednak zwolennicy antypartyjnej ścieżki naprawy państwa dojdą do władzy i wyleją dziecko z kąpielą, warto się zastanowić nad tym, co właściwie szwankuje w polskim systemie partyjnym.

### Przyczyny i objawy

Sądzę, że wad polskich partii należy szukać zarówno w ich wewnętrznej strukturze, niskim poziomie zakorzenienia społecznego, wysokim poziomie centralizacji i personalizacji, jak i w tym, jak wygląda ich rywalizacja. Większość komentatorów skupia się tymczasem na najbardziej widocznych przejawach życia partii (silna pozycja lidera, eliminowanie rywali, powierzchowny i populistyczny program, przerost PR i spinu). Tymczasem wiele problemów ma swoje źródło nieco głębiej. Spróbujmy je krótko zdiagnozować.

Uważam za nieprawdziwą tezę, że to Donald Tusk i Jarosław Kaczyński wskutek wad charakterologicznych „popsuli” polskie partie. To raczej realia partyjnej roboty i reguły rywalizacji wzmocniły negatywne cechy obu polityków. Przekonały ich, że warunkiem sukcesu wyborczego i spójności partii jest bezwzględne tępienie każdego oporu. Jest uzależnianie od siebie potencjalnych partyjnych baronów.

Tusk i Kaczyński byli w polityce partyjnej takimi samymi realistami, jak cały rząd mężów stanu był w stanie bez złudzeń identyfikować mechanizmy rywalizacji międzynarodowej. Ten realizm wyniósł ich do władzy, pozwolił zdominować scenę polityczną, zablokować możliwość tworzenia alternatyw. Ale systemu, który obecnie panuje, żaden z tych polityków nie wymyślił.

Weźmy pierwszy z brzegu przykład takiego realizmu. W 2002 r. Tusk i Kaczyński stworzyli samorządową koalicję wyborczą PO-PiS. I przekonali się, że tam, gdzie obie formacje poszły oddzielnie, ich sumaryczny wynik był zdecydowanie

wyższy. W roku 2005 oba ugrupowania wygrały nie na zapowiedziach wspólnego rządu, ale na wzajemnej niechęci i nieufności. Tak dużej, że umożliwiła ona PiS szybkie „skonsumowanie przystawek”, a PO przejęcie znacznej części elektoratu PiS.

Tusk i Kaczyński wyrzucali z partii popularnych polityków i nie tracili w sondażach. PO nie zapłaciła za usunięcie Olechowskiego, choć to na jego wyniku w wyborach prezydenckich zbudowano nadzieję na silną partię liberalną. Nie zapłaciła za wyrzucenie Rokity, choć to on był kandydatem na premiera w 2005 r. Z PiS odeszli też najważniejsi politycy tej partii w latach 2005–2007: marszałkowie Sejmu Marek Jurek i Ludwik Dorn, premier Kazimierz Marcinkiewicz. I nic nie wskazuje na to, że wraz z nimi porzucił tę partię istotny segment wyborców. Tusk i Kaczyński nauczyli się nowych reguł rywalizacji szybciej niż pozostali uczestnicy gry i stworzyli partię zdolne do długiego trwania wbrew coraz silniejszemu zewnętrznemu krytykom. Ale za ich sukces przychodzi dziś słono płacić.

### Co dolega polskim partiom?

Polskie partie nie wypełniają istotnej swojej funkcji, jaką jest „przenoszenie przekonań wyborców na poziom kształtowania polityki”. Źle działa w nich funkcja rekrutacji elit politycznych, zbyt często preferując posłuszne liderom miernoty. Partie torują drogę mechanizmom klientelistycznym, opartym przede wszystkim na oferowaniu posad w administracji i spółkach publicznych w zamian za polityczne poparcie. Taśmy z dolnośląskiego zjazdu PO pokazują – jak sądzę – nie wyjątek od reguły, lecz pewną regułę funkcjonowania formacji rządzących.

Jeszcze więcej o polskich partiach mówi najniższy w Europie poziom członkostwa w strukturach partyjnych. Gdy partyjne struktury są liczne – nie sposób kupić lokalnych działaczy posadami, bo jest to zadanie niewykonalne. Kiedy partie są „kadrowe”, to miejscami w administracji publicznej i spółkach można nagrodzić niemal wszystkich. Dlatego też dziś najważniejszym czynnikiem partyjnej siły jest umiejętność budowania układów klientelistycznych w okręgu wyborczym (czasem w jego części – mieście, powiecie, najbliższej okolicy) i pilnowania spójności przekazu w mediach.

**Partie nie są systemową wadą, ale tym miejscem, w którym wady systemu są bardziej widoczne niż lepiej skrywane patologie administracji, wymiaru sprawiedliwości czy sektora usług publicznych**

Ten drugi element prowadzi nas do drugiej istotnej wady partii, jaką jest zredukowanie debaty publicznej do walki na „przekazy dnia”, do rywalizacji partyjnych spin doktorów, którzy – jak się czasami dowiadujemy – potrafią dyktować swoje warunki nawet partyjnym liderom. Nie jestem przy tym na tyle naiwny, by sądzić, że możliwa jest dziś polityka bez spinu. Pozostaje jednak kwestia proporcji. Podporządkowanie ugrupowań dyktaturze przekazów dnia, uczynienie z klubu poselskiego maszyny do głosowania (także

na poziomie komisji), wyeliminowanie dyskusji na wyreżyserowanych do ostatniej minuty konwencjach osiągnęło poziom niszczący zarówno wewnętrzną strukturę partii, jak i przestrzeń debaty politycznej. Regułom gry podlegają także mniejsze podmioty, naśladując patologiczne schorzenia dużych partii, zamiast próbować przeciwstawić im inną logikę działania.

To sprawia, że partie postrzegane są jako chory element polskiej polityki – większość komentatorów uważa wręcz, że chory nieuleczalnie. Każda kolejna historia – odejście Gowina i marginalizacja Schetyny, kształtowanie list wyborczych do PE, poziom rywalizacji między Solidarną Polską a Polską Razem, zdają się potwierdzać to przypuszczenie. Wzmacniają argumenty wymierzone w partie jako takie i uzasadniają antypartyjną retorykę radykalnych krytyków polskiej polityki.

### **Partyjniactwo jako błędny cel**

Wydaje się jednak, że nie warto bezgranicznie ulegać antypartyjnym emocjom. Walka z partyjniactwem rzadko kiedy bowiem kończy się dobrze. „Partyjniactwo” było zwykle argumentem jakiejś grupy pretendentów do władzy, którzy nie byli jej w stanie zdobyć – z różnych przyczyn – w sposób zgodny z regułami demokracji parlamentarnej. Odwoływali się przy tym do naturalnego obrzydzenia, jakie w ludziach nieznaną kuchnię politycznej kuchni musiały wzbudzać partyjne rozgrywki.

Druga grupa krytyków partyjniactwa to ludzie, którym reguły rywalizacji wydawały się destrukcyjne dla rządu – rozbiły bowiem niezbędne dla instytucji państwa minimum zgody i stabilności. Jednak nawet gdyby wyeliminować z tych instytucji egoizm partyjny, to zwykle w jego miejsce pojawiałby się egoizm

grup nieformalnych, „sitw” lub „koterii” powiązanych z obozem władzy, pojawiałby się egoizm osobisty wysokich urzędników i ich – nierównoważonych przez żadną inną siłę – resortów i układów biurokratycznych.

Typowe dla partyjniactwa patologie – takie jak kupczenie stanowiskami, obsadzanie ich ludźmi bez kompetencji, narzucanie regulacji prawnych opłacalnych jedynie dla marginalnych mniejszości, wbrew interesowi ogółu – spotykamy we wszystkich ustrojach. Nie proponuję, by traktować je jako coś tak naturalnego, że aż niewartego sprzeciwu. Przeciwnie, dla tego, by dobrze z nimi walczyć, proponuję diagnozę wolną od złudzenia, że znikną one wraz z osłabieniem „partyjniactwa”.

Zdrowe reguły polityki nie są rezultatem jakiegoś ustrojowego „triku”, jedynego rozwiązania, które naprawia zepsuty mechanizm raz na zawsze. Są raczej efektem długiego procesu naprawy. Ulegają też destrukcji w ramach równie długich procesów zepsucia. W toku tych procesów coraz gorsze rozwiązania formalne produkują coraz gorsze obyczaje, a te z kolei – domagają się wsparcia w kolejnych aktach „psucia państwa”.

Warto zatem, dyskutując o programach naprawy, pamiętać, że partie nie są systemową wadą, ale tym miejscem, w którym wady systemu są bardziej widoczne niż lepiej skrywane patologie administracji, wymiaru sprawiedliwości czy sektora usług publicznych. Są też – ze względu na swą „wrażliwość” na opinie wyborców – znacznie bardziej podatne na zmiany.

Jeżeli jednak publiczność traktuje z obojętnością „listy hańby” pokazujące obsadzanie partyjnymi kolegami całej struktury państwa, jeżeli wybacza błędy w rządzeniu i zadowala się tanim populizmem

opozycji, to warunki wymuszania pozytywnych zmian w funkcjonowaniu partii są bardzo trudne. Jeżeli poparcie dla ugrupowań zdobywa się, skutecznie obracając „gorszą walutą” spinu, mobilizowania wrogów, wzmacniania emocji, to trudno sądzić, że formacje te z tego zrezygnują.

Naprawy polskiej polityki nie warto zaczynać od partii: ani od zmiany ich wewnętrznej struktury, ani od zmiany prawa, ani nawet ordynacji wyborczej. Taki pomysł przypominałby bowiem nadzieję, że od samego mieszania łyżeczką gorzka herbata staje się słodsza.

## Agencje rolne, czyli rządowa stajnia Augiasza



### KRZYSZTOF BOSAK

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

**Choć o porządkach panujących w Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa mówi się od dawna, to niedawno ujawniona skala bezczelności i pazerności wydaje się doprawdy nadzwyczajna.**

Równo półtora roku minęło od publikacji przez „Puls Biznesu” nagrania rozmowy Władysława Serafina, polityka PSL który celowo lub przez przypadek, w obszernej plotkarskiej rozmowie ujawnił ogromny zakres marnotrawstwa i nepotyzmu mającego miejsce w podległych Ministerstwu Rolnictwa agencjach. Dziś możemy obserwować odległe echo tamtej awantury: do mediów przeciekły fragmenty raportu przygotowanego przez kancelarię premiera. W dokumencie podsumowano wyniki kontroli przeprowadzonej w Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa.

Zgodnie z ustaleniami z raportu 23 z 81 członków kierownictwa agencji miało bądź ma wśród osób zatrudnionych członka rodziny lub osobę bliską. Podobno na 3 629 pracowników centrali agencji aż 1 707 ma powtarzające się nazwiska, a 206 mieszka pod tymi samymi adresami. Wśród innych budzących emocje ustaleń wymienić można ogromną sumę 1,8 mln zł wydaną z publicznych pieniędzy na autopromocję ministra Marka Sawickiego poprzez spoty zamawiane w różnych stacjach telewizyjnych.

Wszystko to nie wnosi jakościowo niczego nowego do naszej wiedzy o funkcjonowaniu niektórych rządowych agencji, choć skala bezczelności i pazerności w tym wypadku wydaje się doprawdy nadzwyczajna.

Instytucje związane z rolnictwem są wyjątkowo silnie zdominowane przez kadry „ludowców”, gdyż ze względu na swój oportunistyczny i obrotowy charakter PSL jest partią, która w III RP rządziła najdłużej, a sprawy związane z rolnictwem czy wsią należą do ich naturalnego obszaru zainteresowania. Taka kadrowa dominacja i swego rodzaju stabilność układu koterii oplatających rolniczą administrację tworzy naturalną pokusę do nadużyć. Zapewne taki sygnał opinii publicznej chciał wysłać premier, inicjując powstanie dokumentu demaskującego nadużycia w szeregach koalicjanta, choć przecież nie brak ich także w jego partii.

Warto jednak odnotować, że choć ogólne standardy przejrzystości sektora publicznego w Polsce nie są wysokie, to w strefie wpływów PSL są one szczególnie lekceważone. Miałem wątpliwą przyjem-

ność doświadczyć tego osobiście, przygotowując dwa lata temu Mapę Wydatków Państwa. Urzędnicy z Ministerstwa Rolnictwa, gdy pytałem ich o wydatki, na tle wszystkich resortów przodowali w arogancji.

Obecnie najnowsze informacje dotyczące wykonania budżetu umieszczone w Biuletynie Informacji Publicznej na stronie ministerstwa pochodzą sprzed 10 lat. Co gorsza, za nadzorowanie finansowe niektórych instytucji, takich jak Fundusz Składkowy Ubezpieczenia Rolników, nie czuje się odpowiedzialne ani ministerstwo, ani KRUS.

**Podobno na 3 629  
pracowników centrali  
agencji aż 1 707 ma  
powtarzające się nazwiska,  
a 206 mieszka pod tymi  
samymi adresami**

Same zmiany kadrowe na poziomie władz ministerstwa, choćby wymienić całe jego kierownictwo, okażą się zawsze jedynie naskórkowe i tymczasowe. Agencje i instytucje rolne to ogromnie rozgałęzione struktury, z dużymi budżetami częściowo finansowanymi z „własnych” dochodów, wieloma instytucjami podległymi i dziesiątkami lokalnych placówek. Najsprawniejszy minister nie uporządkuje tej stajni Augiasza, choćby miał do dyspozycji pełne cztery lata parlamentarnej kadencji (co przy reformatorskich zapędach jest niezbyt prawdopodobne).

Jedynym rozwiązaniem jest trwała zmiana reguł gry w ramach tego biznesowo-administracyjnego bizancjum. Środ-

kiem do jej osiągnięcia powinna stać się pełna jawność działalności prowadzonej zarówno przez należące do sektora publicznego instytucje, jak i podległe im spółki. Obecnie ustawowa zasada jawności finansów publicznych jest realizowana poprzez publikację raz do roku zbiorczego zestawienia głównych kategorii dochodów i wydatków. Zwykły obywatel nie dowie się niestety z tego wykazu niczego konkretnego.

W celu uzdrowienia sytuacji należałoby wykorzystać Internet i za jego pomocą włączyć obywateli w proces społecznej kontroli mających im służyć instytucji. Instytucje owe należy z kolei zobowiązać do publikowania na bieżąco, w zestandaryzowanej formie, każdego pojedynczego ponoszonego wydatku, niezależnie od jego wysokości. Należy też wymagać publikacji list pracowników i wysokości ich wynagrodzeń.

Przesłuchania przeprowadzane w ramach rekrutacji na wolne stanowiska powinny być odpowiednio wcześniej anonsovane, rejestrowane i otwarte dla zainteresowanych obywateli. Analogiczne zasady powinny obowiązywać w podległych spółkach, łącznie z jawnością w zakresie zawieranych transakcji.

Zdaję sobie sprawę, że realizacja takich postulatów wymagałaby głębokich zmian prawnych i dla znacznej części establishmentu byłaby równoznaczna z naruszeniem „prywatności”, „tajemnicy handlowej” itp. Sądzę jednak, że te zasady muszą zejść na plan dalszy w imię dobra wspólnego. Wszak ani praca w sektorze publicznym, ani robienie w nim interesów nie są przymusowe. Tylko radykalne postawienie sprawy może zaowocować zmianą kultury organizacyjnej w niektórych instytucjach, a co za tym idzie, zmianą ich postrzegania przez społeczeństwo.



## Po szwajcarskim „nie” strefa Schengen trzeszczy w szwach



**ALEKSANDRA RYBIŃSKA**

Redaktor „Nowej Konfederacji”

**Postanawiając renegocjować układ o swobodnym przepływie osób i dóbr, Szwajcarzy wypowiedzieli się przeciwko narzuconej przez UE polityce imigracyjnej. Może to stworzyć ważny precedens.**

Szwajcaria od 2005 r. była członkiem strefy Schengen, choć nie należała do UE. Dziś, kiedy co piąty Szwajcar jest imigranem, ten mały kraj postanowił coś w swojej polityce zmienić. Dlatego w sobotnim referendum Helweci opowiedzieli się za wprowadzeniem limitów liczby przyjmowanych imigrantów. Będzie to, naturalnie, oznaczało potrzebę renegocjacji traktatów z Unią.

Berlin i Bruksela zareagowały co najmniej chłodno. Niemcy, których przyciągają niskie podatki i praca, stanowią jednak największą grupę wśród szwajcarskich imigrantów (ok. 300 tys.). Martin Schulz (eurodeputowany SPD) stwierdził, że Szwajcaria nie może unieważniać traktatów międzynarodowych i że będzie to miało dla niej poważnie ekonomiczne konsekwencje; towary z metką „made in Switzerland” nie będą bowiem już miały wolnego wstępu na wspólnotowy rynek. Wtórował mu Wolfgang Schäuble, niemiecki minister finansów, który przewiduje, że referendum przysporzy Szwajcarii wielu problemów.

Zurych podchodzi jednak do tych gróźb z dystansem. Nie wiadomo jeszcze, jakie konkretne kwoty zostaną wprowadzone, a Szwajcaria na renegocjację umów z UE ma trzy lata, w ciągu których wiele się jeszcze może zmienić. Co więcej, Szwajcarów gospodarczą katastrofą straszono już po referendum w 1992 r., kiedy to zdecydowali nie wstępować do Unii. Cóż, dziś Szwajcaria ma prawie czterokrotnie niższe bezrobocie niż średnia unijna, a gospodarka rozwija się w tempie 1,9 proc. rocznie, podczas gdy unijna wciąż się nieznacznie kurczy.

Nie wiadomo też, czy strefa Schengen przetrwa najbliższe eurowybory. Liderzy Szwajcarskiej Partii Ludowej (SVP) zebrali jednak wyrazy uznania od działających wewnątrz UE eurosceptyków, których partie zyskują coraz większe poparcie. Szwajcarów chwalili m.in. Marine Le Pen, przewodnicząca Francuskiego Frontu Narodowego, Geert Wilders z Holenderskiej Partii Wolności (PVV), a także politycy noszącej analogiczną nazwę partii austriackiej (FPÖ). Wiadomo również, że

ograniczenia imigracji chcą wprowadzić brytyjscy konserwatyści. Z jeszcze bardziej radykalnymi hasłami idzie zaś do wyborów Partia Niepodległości Zjednoczonego Królestwa (UKiP), która chce z Unii po prostu wyjść.

Należy jednak pamiętać, że zachodzi tutaj ciekawe zjawisko kampanii, podczas której polityczna poprawność nie pozwalała otwarcie używać wszystkich zakładanych implicite argumentów. Na jednym z plakatów używanych podczas szwajcarskiego referendum widzimy np., jak po czerwone paszporty z białym krzyżem sięgają różnokolorowe ręce. Tak daleko zdecydowano się posunąć, uderzając w politykę multikulturowości, cała debata nie wyszła jednak poza pewne politycznie akceptowalne ogólniki.

Jest jasne, że wiele starzejących się państw europejskich chętnie przyjmie wykształconych i aktywnych zawodowo imigrantów, tak jak czynią to dziś Niemcy w stosunku do młodych Hiszpanów. Państwa przyjmujące chciałyby jednak, aby ich nowi obywatele byli łatwi do zasymilowania, kompatybilni kulturowo. Tymczasem wiele osób posiadających np. paszport niemiecki czy włoski, a potem osiedlających się w Szwajcarii, to muzułmanie. W 8-milionowym kraju jest ich już blisko 400 tys., w niektórych szkołach islamskie dzieci stanowią zaś już większość uczniów. Plakaty wykorzystane w antyimigracyjnej kampanii do złudzenia przypominały inne z referendum, które w 2009 r. zakazało w Szwajcarii budowy minaretów. Było na nich wtedy widać kobietę w burce, w tle zaś ze szwajcarskiej flagi wyrastały minarety.

Nawet dla radykałów na razie jest jednak nie do pomyślenia wprowadzenie imigracyjnej kwoty tylko dla muzułmanów, a dla chrześcijan i żydów już nie. To wy-

magaloby bez mała rewolucji światopoglądowej. Liberalną ideę multikulturowości łatwiej jest bowiem krytykować w ogólnikach, niż odrzucić w praktyce. W faktycznej debacie o imigracji znacznie wygodniej jest oprzeć się na podsycanych przez kryzys argumentach natury ekonomicznej. Bardzo podobnie premierowi Davidowi Cameronowi łatwiej jest mówić o Polakach rzekomo wyludzających zasiłki, niż narażając się na oskarżenia o nietolerancję, powiedzieć coś o podpalających samochody imigrantach z Afryki.

**Szwajcarów gospodarczą katastrofą straszono już po referendum w 1992 r., kiedy to zadecydowali nie wstępować do Unii Europejskiej. Cóż, dziś Szwajcaria ma prawie czterokrotnie niższe bezrobocie niż średnia unijna**

Jeszcze w 1924 r. USA wprowadzały zupełnie oficjalnie kwoty imigracyjne w oparciu o kryterium kulturowo-etniczne, limitując napływ uchodźców z pewnych obszarów świata bardziej niż z innych. Dziś podobne działania byłby nie do pomyślenia. Niedawno jednak sprawa braci Carnajew boleśnie przypominała Amerykanom dość dotkliwie o zagrożeniach związanych z imigracją z krajów muzułmańskich. Równocześnie amerykańscy pracodawcy z branż o wysokim poziomie

zaawansowania technologicznego chcą, aby ułatwić osiedlanie się w Stanach najzdolniejszym pochodzącym z zagranicy absolwentom wyższych uczelni. Mimo to nikt nie kwapi się reformować niezwykle skomplikowanego i miejscami nielogicznego prawa imigracyjnego. Z planów zmian rakiem wycofali się ostatnio Republikanie, bez których nie ma on szans na sukces.

Na świecie wyraźnie zbiega się dziś kryzys gospodarczy i trwający już od dawna kryzys multikulturowego liberalizmu. Prowadzi to do zrozumiałych obaw rozmaitych społeczeństw. Szwajcarskie „nie” dla Schengen w aktualnym kształcie to ważny głos, który może rozpocząć paneuropejską debatę o imigracji. Wciąż jednak trudno powiedzieć, jaka Europa się z takiej debaty wyłoni.

## To nie głupcy rządzą Polską



**BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI**

Redaktor naczelny „Nowej Konfederacji”

**Stawiając pytanie: czy rządzą nami durnie? – i sugerując odpowiedź twierdzącą – Grzegorz Pytel wyraził ważną społeczną emocję. Jego teza jednak więcej zaciemnia, niż wyjaśnia.**

Pytel („Nowa Konfederacja” nr 5(17)/2014) znakomicie pokazał kontrast między ogromem możliwości rozwojowych przed nami a nędzą polskiej polityki. Kłopot jednak w tym, że supozycja, jakoby żalność naszego życia publicznego wynikała głównie z głupoty polskich polityków, więcej zaciemnia, niż wyjaśnia. Co więcej, jak postaram się pokazać, jest na rękę grupom interesów, które z naszego godnego pożałowania status quo korzystają.

### **Administrowanie to nie rządzenie**

Pierwszy podstawowy błąd myślowy Pytla polega na fałszywej tezie zawartej w tytułowym pytaniu. Autor zakłada, że polscy politycy naprawdę rządzą, czyli dysponują rzeczywistą możliwością definiowania i realizowania celów strategicznych.

Tymczasem najlepsi polscy politolodzy, ci mający – wbrew branżowej regule produkcji formalistycznych „bajek dla grzecznych dzieci” – odwagę podejmowania tematów ważnych, mówią nam rzecz odwrotną. W pracach Jadwigi Sta-

niskis, Artura Wołka czy Rafała Matyi znajdziemy stanowcze dictum o nierządności współczesnej Polski.

Brak skutecznego ośrodka planowania i koordynacji polityki (tzw. centrum rządu), niemożność definiowania celów, połączona z jeszcze mniejszą zdolnością realizacji tych, które wyjątkowo udaje się określić, swawola grup interesów, wzajemne blokowanie instytucji tam, gdzie powinny się wspierać – to problemy dobrze opisane przez wspomnianych autorów. Jako sumę tych diagnoz można potraktować tezę Staniszkis o „polityce bez władzy”, jako pozbawionym strategicznej sprawczości spektaklu, sprowadzonym w wymiarze decydowania do zarządzania karuzelą stanowisk i chronicznym deficytem budżetowym.

Tak więc nasi politycy raczej administrują, niż rządzą. Tu właśnie leży podstawowa przyczyna ich niezdolności do podjęcia nie tylko wielkich projektów infrastrukturalnych, o których z pasją pisze Pytel, lecz także potykania się o tak drobne przedsięwzięcia jak wymiana dowodów

osobistych czy likwidacja obowiązku mel-dunkowego.

Zatem pytanie: czy rządzą nami dur-nie? jest źle postawione, jeśli adresować je do naszych polityków. Nierządem znów Polska stoi.

### **Kto ustala reguły, ten wygrywa grę**

Nie znaczy to jednak, że naszym krajem nie rządzą żadne reguły ani że nie są w nim realizowane ważne przedsięwzięcia. Tak przenikliwie pokazana przez Pytla degradacja przemysłu wydobywczego jest w istocie przykładem dobrze przeprowadzonej operacji politycznej na dużą skalę. Podobnie znakomicie udała się w Polsce po 1989 r. likwidacja lub grabieżcza prywatyzacja wielu innych branż: stoczniowej, samochodowej czy gorzelnianej. Powiodło się też uwłaszczenie zagranicznych inwestorów i postkomunistycznej nomenklatury na państwowym majątku.

W wielu przypadkach były to przedsięwzięcia o wysokim stopniu złożoności, niemożliwe do przeprowadzenia bez wielopoziomowego, wieloetapowego planowania i koordynacji. Ich autorzy z pewnością nie są durniami. Przeciwnie: potrzeba demonicznego niemalże geniuszu, żeby tak zawiadywać wielkimi procesami politycznymi i gospodarczymi, aby odwrócić uwagę nie tylko wielomilionowej publiczności, ale także przecież całych zastępów analityków i intelektualistów, od istoty sprawy sprowadzającej się w gruncie rzeczy do prostej, klasycznej, niezmiennej od tysięcy lat zasady „Is fecit, cui prodest” (Ten uczynił, czyja korzyść).

Kto zaś najbardziej skorzystał na polskiej transformacji? Wielki zagraniczny kapitał, najczęściej europejski lub amerykański. To on objął w posiadanie więk-

szość najbardziej intratnych biznesów w Polsce: od banków, przez wielki handel, po doradztwo strategiczne. Nie byłoby to możliwe, gdyby nie przyjęcie na starcie przez naszych polityków określonych – uprzywilejowujących zachodni kapitał i dyskryminujących rodzimych – reguł transformacji. Wbrew wszechobecnej propagandzie reguły te nie powstały spontanicznie i samoczynnie, lecz w toku nierównych negocjacji polskich polityków z takimi instytucjami jak Bank Światowy i Międzynarodowy Fundusz Walutowy.

**Nasi politycy raczej administrują, niż rządzą. Tu właśnie leży podstawowa przyczyna ich niezdolności do podjęcia nie tylko wielkich projektów infrastrukturalnych, o których z pasją pisze Pytel**

Te zaś były i są agendami zachodnich państw i zachodniego kapitału.

Polska transformacja była więc elementem – mającej konkretnych autorów i beneficjentów – neokolonizacji bloku komunistycznego pokonanego przez zwycięski Zachód. Inaczej niż historyczny kolonializm ten współczesny ukrywa się za fasadą równoprawnych stosunków międzynarodowych, niosąc jednak „władzę bez odpowiedzialności” i „eksploatację bez rekompensaty”. To najbardziej wyrafinowana w dziejach forma wyzysku całych narodów.

## **Kleptokraci muszą kraść kompetentnie**

Jeśli więc zmienić sens postawionego przez Pytla pytania, kierując je w stronę realnych, a nie nominalnych twórców kluczowych reguł dla polskiej polityki, to zawarta we frazie „czy rządzą nami durnie?” supozycja jest błędna, a odpowiedź na samo pytanie – musi być przecząca.

Ale prowokacyjne pytanie autora „Komunizmu dla bogatych” można też ukierunkować w stronę polskich administratorów, dumnie zwanych „politykami”. Czy są oni durniami?

O pewnym typie elit amerykański ekonomista James K. Galbraith powiedział: „Drapieżcy nie mają nic przeciwko byciu uważanym za niekompetentnych – takie oskarżenie pomaga ukryć ich rzeczywiste cele”.

Kim są „drapieżcy” i jakie są ich cele? To, mówiąc inaczej, kleptokraci dążący przede wszystkim do maksymalizacji prywatnego zysku poprzez eksploatację reszty społeczeństwa. Przechwycenie państwa jest na to najlepszym sposobem. Bo władza polityczna oznacza monopol na stanowienie prawa, a nie ma bardziej efektywnej eksploatacji i korupcji niż ta dokonywana w majestacie legalności.

W pracach takich badaczy jak Mancur Olson, Douglass North czy Deepak Lal znajdują się naukowe opisy rozsianych po całym świecie „państw drapieżczych” wraz z rozlicznymi metodami „dojenia” miejscowej ludności przez ich elity. III RP ma – jak dowodziłem przy innej okazji – wszystkie cechy takiego systemu. Co do zasady dąży do „optimum kleptokratycznego”: tak dużo dóbr publicznych jak infrastruktura i edukacja, aby nie wywołać buntu, tak mało, aby społeczeństwo nie stało się groźne dla władzy.

Utrzymanie w ten sposób działającego systemu wymaga od jego kierownictwa sporych kompetencji. Tyle że inteligencja i wiedza elit drapieżczych nie są skierowane na dobro wspólne, lecz na korzyść własną. To, co na pierwszy rzut oka wygląda na objawy bałaganu, nieudolności, głupoty – przepłacone inwestycje, niewydolny wymiar sprawiedliwości, niespójne przepisy – jest w pełni racjonalne z perspektywy teorii „państwa drapieżczego”.

Dlatego właśnie sugestia, że „rządzą nami durnie” więcej zaciemnia, niż wyjaśnia. I jest na rękę tak dominującym polskim elitom, jak i ich senior partnerom – zachodnim neokolonizatorom.

## Wesprzyj nas

**Dzięki Darczyńcom „Nowa Konfederacja” powstała i działa. Dzięki Darczyńcom będzie mogła nadal istnieć i rozwijać się.**

**Dlatego prosimy o wsparcie! Każda złotówka, jeśli ma charakter stałego zlecenia przelewu, ma dla nas istotne znaczenie.**

Wpłaty prosimy kierować na rachunek bankowy wydawcy „Nowej Konfederacji”, Fundacji Nowa Rzeczpospolita:

**09 1560 0013 2376 9529 1000 0001** (Getin Bank)

W tytule przelewu prosimy wpisać: „darowizna na cele statutowe”.

### **Dlaczego warto nas wspierać?**

Rynek w obecnej postaci nie sprzyja poważnej debacie o państwie i polityce. Dowodem są wszechobecne i pogłębiające się procesy tabloidyzacji i upartyjnienia mediów opiniotwórczych. Z drugiej strony, zaawansowana wiedza o polityce jest coraz częściej dostępna jedynie dla nielicznych i za coraz większymi opłatami. W Polsce dochodzi do tego problem finansowania wielu ośrodków opiniotwórczych zza granicy i głęboki kryzys mediów (z nazwy) publicznych.

Jeśli ten trend ma się odwrócić, **potrzebny jest alternatywny, obywatelski model finansowania mediów**. Dobrowolny, stały mecenat wystarczająco dużej liczby Polaków umożliwi nam stworzenie prężnego ośrodka intelektualnego. Niezależnego zarówno od partii, od wielkiego kapitału, od gustów masowej publiczności, jak i od zagranicznych ośrodków. I dostarczenie darmowej, zaawansowanej wiedzy o polityce zainteresowanym nią obywatelom.

**„Nowa Konfederacja” to (na gruncie polskim) projekt pionierski także pod względem sposobu finansowania.** Działamy bowiem właśnie dzięki mecenatowi obywatelskiemu.

Każde stałe zlecenie przelewu jest ważne! **Dołącz do grona naszych Darczyńców i wspieraj media naprawdę publiczne!**

**Darowizny na rzecz fundacji są w Polsce** (art. 16 ustawy o fundacjach) **zwolnione z podatku**. Co więcej, **podlegają odliczeniu od podatku** zarówno przez osoby fizyczne, jak i prawne, zgodnie z przepisami ustaw o podatku dochodowym od osób fizycznych i prawnych.

## O nas

„Nowa Konfederacja” to pierwszy w Polsce internetowy tygodnik idei. Koncentrujemy się na tematyce politycznej o znaczeniu strategicznym. „NK” to medium misyjne, tworzone przez obywateli – dla obywateli. Jako pierwsi w Polsce działamy profesjonalnie wyłącznie dzięki wsparciu Darczyńców.

Stawiamy sobie **trzy cele główne.**

### **Po pierwsze, chcemy tworzyć miejsce poważnej debaty o państwie i polityce.**

Dziś takiego miejsca w Polsce brakuje. Wskutek postępujących procesów tabloidyzacji oraz uzależnienia mediów opiniotwórczych od partii i wielkiego kapitału, brak ten staje się coraz bardziej dotkliwy.

Stąd, w środowisku skupionym dawniej wokół kwartalnika „Rzeczy Wspólne” – poszerzonym po rozstaniu z Fundacją Republikańską w kwietniu 2013 o nowe osoby – powstał pomysł stworzenia internetowego tygodnika idei. Niekomercyjnego i niezależnego medium, wskrzeszającego formułę głębokiej publicystyki. Mającego dostarczać zaawansowanej wiedzy o polityce w przystępnej formie.

### **Nasz drugi cel to pełnienie roli pośrednika między światem ekspercko-akademickim a medialnym.**

Współczesna Polska jest intelektualną półpustynią: dominacja tematów trzeciorzędnych sprawia, że o sprawach istotnych mówi się i dyskutuje rzadko, a jeśli już, to zazwyczaj na niskim poziomie. Tym niemniej, w świecie akademickim i eksperckim rodzą się niekiedy ważne diagnozy i idee. Media głównego nurtu przeważnie je ignorują. „Nowa Konfederacja” – ma je przybliżyć.

### **Cel trzeci to aktualizacja polskiej tradycji republikańskiej.**

Republikanizm przyniósł swego czasu Polsce rozkwit pod każdym względem. Uważamy, że jest wciąż najlepszym sposobem myślenia o polityce – i uprawiania jej. Co więcej, w dobie kryzysu demokracji, jawi się jako zarazem remedium i alternatywa dla liberalizmu. Jednak polska tradycja republikańska została w dużym stopniu zapomniana. Dążymy do jej przypomnienia i dostosowania do wymogów współczesności.

**Dlaczego konfederacja?** Bo to instytucja esencjonalna dla polskiej tradycji republikańskiej – związek obywateli dążących razem do dobra wspólnego w sytuacji, gdy inne instytucje zawodzą. W naszej historii konfederacje bywały chwalebne (konfederacja warszawska 1573 r., sejmy skonfederowane jako remedium na liberum veto), bywały też zgubne (Targowica). Niemniej, zawsze były potężnym narzędziem obywatelskiego wpływu na politykę.

### **Dzisiejszy upadek debaty publicznej domaga się nowej konfederacji!**



## „Nową Konfederację” tworzą

### **Darczyńcy:**

Czterdziestu Dziewięciu Anonimowych Darczyńców, Jacek Bartosiak, Jerzy Martini, Marek Nowakowski, Krzysztof Poradzisz, Piotr Remiszewski

### **Redakcja:**

Michał Kuź, Bartłomiej Radziejewski (redaktor naczelny), Aleksandra Rybińska, Przemysław Skrzydelski (p.o. sekretarza redakcji)

### **Redaktor prowadzący:**

Michał Kuź

### **Stali współpracownicy:**

Jacek Bartosiak, Michał Beim, Krzysztof Bosak, Tomasz Grzegorz Grosse, Maciej Gurtowski, Bartłomiej Kachniarz, Krzysztof Koehler, Andrzej Maśnica, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Barbara Molska, Agnieszka Nogal, Adam Radzimski, Stefan Sękowski, Zbigniew Stawrowski, Tomasz Szatkowski, Stanisław Tyszka, Krzysztof Wołodźko, Piotr Woyke

### **Grafika (okładki):**

Piotr Promiński

### **Administracja stroną internetową, korekta, redakcja stylistyczna:**

Przemysław Skrzydelski

### **Komunikacja internetowa:**

Michał Kuź

### **Skład:**

Rafał Siwik

### **Wydawca:**

Fundacja Nowa Rzeczpospolita

### **Kontakt:**

redakcja@nowakonfederacja.pl

### **Adres (wyłącznie do korespondencji):**

Al. Solidarności 115, lok. 2, 00-140 Warszawa